

Pismo.

MAGAZYN OPINII

LISTOPAD 2022 | NR II (59)

ESEJ

**Jak się dogadać,
gdy jesteśmy
tak podzieleni?**

**Dlaczego głosujemy
wbrew swoim
interesom?**

ROZMOWA

**Wojciech Plewiński:
wciąż poluję na kadry**

LITERATURA

**Jakub Małecki
Joanna Bator**

CENA: 17,99 zł (w tym 8% VAT)

ISSN 2544-5022 INDEKS 422258



9 772544 502203

Pismo.

MAGAZYN OPINII

LISTOPAD 2022 | NR II (59)



[Kup książkę](#)

Program Kreatywna Europa



EUROPEJSKIE WSPARCIE DLA SEKTORA KULTURY I KREATYWNEGO

Zdobądź grant w ramach komponentu Kultura:

- Projekty współpracy europejskiej
- Wsparcie obiegu literatury europejskiej
- Program mobilności dla twórców i profesjonalistów z sektora kreatywnego



Współfinansowane przez
Unię Europejską

Wejdź na stronę: www.kreatywna-europa.eu
i dowiedz się więcej!

Kup książkę

MAGAZYN OPINII Pismo.

LISTOPAD 2022

PROZA

Mowa nasza szeleści | 6
JAKUB MAŁECKI

Batwoman | 90
JOANNA BATOR

RZECZ GUSTU

Redakcja poleca | 3
wydarzenia kulturalne w listopadzie

POEZJA

[...] | 23
MAKSYMILIAN WOLSKI

dokument 0.5 | 43
MARIA CYRANOWICZ

jpg | 71
DAMIAN PIWOWARCZYK

OBRAZ

CYKL REMEDIUM **Elektrośmieci** | 4
RAV.A STORIES

FOTOREPORTAŻ **Z perspektywy fotografii** | 30
BARTOSZ FATEK, MAGDALENA ŚWITAŁA

KOMIKS **Hanami Północy** | 72
HENRYK

W RAMACH PISMA **Krzyż** | 88
DANIEL RYCHARSKI

ŻARTY RYSUNKOWE
EDYTA BYSTRON

OKŁADKA **Praca u podstaw**
BASIA POSPISCHIL

FELIETON

2 | ROZMOWY Z K. **Sweter nad studnią**
KAROLINA LEWESTAM odpowiada na pytania czytelniczki

96 | A PROPOS **przełamывania polaryzacji**
ZUZANNA KOWALCZYK

APTECZKA

95 | **Co w niej trzyma...**
GAJA GRZEGORZEWSKA

ROZMOWA

12 | **Musiałem poczuć nasycenie**
MONIKA SZEWCZYK-WITTEK rozmawia z WOJCIECHEM PLEWIŃSKIM

REPORTAŻ

24 | **Gdybyśmy byli ludem Wayuu**
BEATA SZADY o tym, jak lokalni mediatorzy rozwiązują konflikty w Kolumbii

44 | **Pozytywny mit: historie bohaterów opozycji**
KATARZYNA SZYNGIERA, MARCIN NAPIÓRKOWSKI, MIROSLAW WLEKŁY

HISTORIA OSOBISTA

38 | **Dajemy głos milczącej większości**
WAWRZYNIEC SMO CZYŃSKI o tym, dlaczego naszą największą siłą jest wspólnota

ESEJ IDEE

54 | **Jak nie dać się Edkom?**
TOMASZ GRZYB tłumaczy, dlaczego głosujemy na swoją niekorzyść

ESEJ EKONOMIA

62 | **Krwawica: rzecz o obiegu pieniądza**
KACPER POBŁOCKI na przykładzie gry *Monopoly* wyjaśnia, jak się bogacimy

ESEJ KULTURA

80 | **Edward Yang: opowiedzieć Tajwan**
KAROLINA BREGUŁA o pełnym symboliki kinie kultowego reżysera

MAGAZYN OPINII
Pismo.

Pismo. Magazyn opinii
www.magazynpismo.pl

Wydawca: Fundacja Pismo
ul. Wojciecha Górskiego 1/66,
00-033 Warszawa
KRS: 0000689263, NIP: 1182150957

Prezes Zarządu: Piotr Nesterowicz
Członkinie Zarządu:
Magdalena Kicińska, Kalina Wyszyńska

Adres redakcji: Pismo. Magazyn opinii, ul. Wojciecha Górskiego 1/66, 00-033 Warszawa,
Redaktorka Naczelna: Magdalena Kicińska, **Kultura i sekretarzowanie redakcji:** Katarzyna Kazimierowska,
Weryfikacja faktów: Marcin Czajkowski, **Idee:** Karolina Lewestam, **Ekonomia i Technologie:** Zuzanna Kowalczyk,
Redakcja: Urszula Kifer, Zofia Sawicka, Ilona Turowska, Edyta Zielińska, **Korekta:** Monika Marczyk, Dorota Śrutowska,
Szefowa Projektów Cyfrowych: Barbara Sowa, **Wydanie Cyfrowe:** Ewa Pluta
Projekt makiet: Jacek Utko, **Redaktorka Artystyczna:** Karolina Mazurkiewicz, **Skład i łamanie:** Marta Juchnowicz-Bierbasz,
Szefowa Marketingu i Sprzedaży: Kalina Wyszyńska, **Marketing:** Mateusz Roesler, **Promocja:** Ewa Salamon,
Prenumerata i subskrypcja: Marcin Lipiec, **Fundraising:** Natalia Czarkowska, **Reklama:** reklama@magazynpismo.pl

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i ma prawo do odmowy publikacji.

Kup książkę



KAROLINA LEWESTAM (ur. 1979),
dziennikarka i redaktorka. Obroniła
doktorat z filozofii na Uniwersytecie
Bostońskim. Wielokrotnie
nominowana do nagrody Grand Press.
Członkini redakcji „Pisma”.

Droga K.,
postanowiłam napisać ten list, żeby oczyścić sobie głowę. Od kilku dni czytam „Pismo” i pomyślałam, że czemu nie. Nawet jeśli nie otrzymam odpowiedzi, to zwolnię trochę miejsca w głowie. Więc tak: (...) niedawno dowiedziałam się, że choruję na stwardnienie rozsiane. Mam dwadzieścia jeden lat i studiuję medycynę. Ale szczerze, to nie fakt choroby mnie przytłacza, bo to przytłoczenie było już wcześniej. Teraz czuję motywację, żeby coś z tym zrobić. Mianowicie jest we mnie niezdolność do cieszenia się z tego, co jest. Zazdrość innym tak wielu rzeczy, że już sama nie wiem, czy ta zazdrość nie pojawia się już tak dla zasady, a nie z braku zaspokojenia własnych potrzeb. Czasem czuję smutek i bezradność i pozwalam sobie na te emocje, a innym razem (...) stawiam siebie w roli ofiary i jestem na to wkurzona. Nie wiem, czego oczekuję. Chyba słów otuchy i może krzty odwagi. Boję się, że to się nie zmieni i stanę się zgorzkniała.

Pozdrawiam, K.

Czasem o trudnych rzeczach dobrze jest napisać do kogoś, kto jest daleko. Napisz do mnie. rozmowyk@magazynpismo.pl

Sweter nad studnią

Kochana K.!

Jak dobrze cię rozumiem!

Jestem na studiach. I też może trochę po. Moje życie wewnętrzne przypomina daremne próby wydostania się ze studni. Studnia jest wypełniona śliską zieloną mazią i za każdym razem, gdy udaje mi się wystawić głowę na powierzchnię, ręce znów ześlizgują się z krawędzi i spadam w dół, prosto w upiorne, zielone bajoro. Plop i plumsk. Im dłużej nie mogę się wydostać, tym bardziej się boję, że toksyczny śluz weźre mi się w skórę. I niby gramolę się do góry, ale to proces dość żałosny, powolny jak podróż chrząszcza przez autostradę, i koniec końców ląduję znowu na dnie, w tej samej kałuży zazdrości.

Potem, dużo później, zorientuję się, że mamy i ciotki mówią prawdę: to najlepszy okres mojego życia. Czas, w którym jestem jasna, piękna i pełna mocy. Ja tymczasem spędzam go uwalona smarem, bo zazdroścę. Jak zombie Elza strzelam zielonością wokół i buduję z niej lepkie pałace, w których się duszę, ale w których i tak próbuję się chować. Przed czym? Otóż, na przykład przed sławnymi współstudentkami; jakieś zajęcia miałam choćby z Małgorzatą Halber, a inne z Anną Muchą – jedna miała sweterek limonkowy z takiego moherka z rękawkiem trzy czwarte, a druga melanzowy z kapturkiem na suwak, z Royal Collection, wiem, bo go tam widziałam, kiedy przemknęłam przez ten sklep w nadziei, że nikt nie zapyta: „Czy w czymś pomóc?” w sposób, który na pewno znaczy: „Wypad, obdartusie w żałosnych ciuchach z jeleniogórskiego lumpeksu”. Chciałam mieć oba te sweterki, tak strasznie ich chciałam, ale może jeszcze bardziej chciałam znać tylu ludzi co one (dziewczyny, nie sweterki), i być tak odważna jak Anna Mucha, która zganiona za czapkę z daszkiem na zajęciach obdarzyła wszystkich wesołym uśmiechem i mocnym głosem odrzekła: „Zaraz, zaraz, muszę tu wystąpić w obronie mojej czapki”. Ja bym w tej sytuacji wstała, mnąc czapkę jak chłop pańszczyźniany przed Panem Dobrodziejem, a potem bym ją zjadła.

Ty też pewnie zazdrościsz sweterków, odwagi. Ale... może my obie – i ta stara ja, i terazniejsza ty, może... może mamy powody, by zazdrościć? I nie chodzi mi o sweterek, ani o ten limonkowy, ani melanzowy; to są (rzekłby Arystoteles) przyczyny celowe naszych zazdrości; takie, do których nasze zazdrości dążą i ku którym wyciągają swoje lepkie, zielone główki, jak obcoplanetarne słoneczniki. Chodzi o przyczyny sprawcze, czyli o to, skąd się te nasze zazdrości wzięły. Zazdrość to pokłosie braku; to poczucie, że świat nie traktuje nas fair. Nie znamy się, ale może obie byłyśmy kiedyś małymi dziewczynkami, które bardzo, tak bardzo potrzebowały uwagi, kochania, przytulenia; tymczasem zamiast w ramionach ukochanych osób, spędzałyśmy czas samotnie w pokoju, wyglądając z niego na świat jak ten zmarznięty pan z lodówki (końcówka *Mad Men*), który widzi biesiadujące osoby i słyszy śmiech tylko, gdy ktoś przypadkiem otworzy drzwi. Może wtedy poczułyśmy, że inni mają lepiej; może wtedy zrodziła się nasza idea o asymetrii krzywd. To, co czujemy, opowiada nam siebie, najczęściej te fragmenty naszych historii, które na gwarnym Festiwalu Pamięci zawsze siedzą cicho i nie robią kolorowych prezentacji.

Co mi pomogło? Puściłam się krawędzi studni. Wpadłam w toksyczną maść, a ona nie okazała się maścią na moje stare rany. Pozwoliłam sobie czuć zazdrość bez wstydu, unurzać się w niej, zrozumieć ją. To przecież ta mała dziewczynka przypominała mi o sobie, ona tak właśnie nie pozwalała się zapomnieć, więc wyciągnęłam do niej rękę przez przepaść lat, przytuliłam ją mocno, trzymałam długo w ramionach i obiecałam, że będę zawsze o niej pamiętać.

A czy tobie się uda? Oczywiście, że tak. K., ty przecież zrobiłaś coś niesamowitego, coś tak wspaniałego, że trudno w to uwierzyć. Dostałaś niezwykle poważną diagnozę – i o czym pomyślałaś? O tym, że twoje życie będzie teraz trudniejsze? Że będziesz spędzała dni, bojąc się nawrotu choroby? O tym, że teraz to już naprawdę inni mają lepiej?

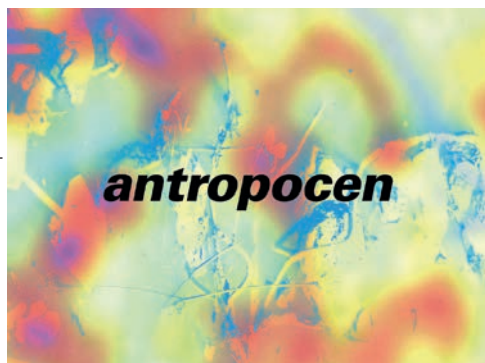
Nie, K. Ty zachciałaś stać się lepszym człowiekiem.

Kup książkę

Rzecz gustu,

CZYLI REDAKCJA „PISMA”

poleca w listopadzie



antropocen

Wystawa *Antropocen* w Zodiaku, Warszawskim Pawilonie Architektury

Od 23 września w Warszawskim Pawilonie Architektury Zodiak można oglądać wystawę *Antropocen*, zorganizowaną przez Narodowy Instytut Architektury i Urbanistyki. Kuratorzy podjęli namysł nad zmianami zachodzącymi w architekturze w związku z kryzysem klimatycznym i przeobrażeniami w relacji człowieka z naturą. Wystawa potrwa do 27 listopada.

WIĘCEJ: niaiu.pl



Festiwal Feminatywa we Wrocławiu

Feminatywa to trzecia edycja festiwalu feministycznego o tematyce społeczno-kulturalnej. Jego organizatorzy zapraszają do sieci placówek Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Tadeusza Różewicza we Wrocławiu. W dniach 5–11 listopada uczestnicy i uczestniczki mogą wziąć udział w dyskusjach z pisarkami, artystkami i aktywistkami, poświęconych między innymi emigracji i wojnie, transpłciowości, feministycznym wątkom w twórczości Marii Konopnickiej czy sytuacji robotnic w dawnej Polsce. Debaty będą dostępne również w formie podcastów.

WIĘCEJ: fama.wroc.pl

Listopad 2022

5

6



Festiwal Warszawa w Budowie

Czternastą edycję festiwalu Warszawa w Budowie, przygotowaną we współpracy Muzeum Sztuki Nowoczesnej z aktywistami stowarzyszenia Miasto Jest Nasze, poświęcono tematowi miejskiego życia ulicy, współcześnie zdominowanego przez samochody. Festiwalowa wystawa *Walka o ulice*, która zapożyczyła swój tytuł ze znanej książki miejskiej aktywistki Janette Sadik-Khan, jest dostępna dla widzów do 15 stycznia 2023 roku. W programie liczne debaty i spotkania towarzyszące.

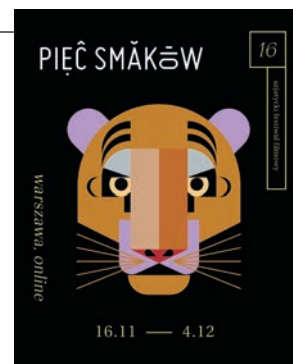
WIĘCEJ: wwb13.artmuseum.pl



Wystawy Natalii LL oraz Brunona Schulza w MOCAK-u

Od 27 października w krakowskim Muzeum Sztuki Współczesnej MOCAK można oglądać dwie nowe wystawy. Pierwsza to *Bruno Schulz: Sex-Fiction*, na której zaprezentowano kilkadziesiąt rysunków i grafik jednego z najważniejszych polskich pisarzy żydowskiego pochodzenia Brunona Schulza. Wystawa potrwa do 19 lutego. Druga to *Erotyczne prowokacje*, indywidualna wystawa będąca hołdem dla zmarłej w tym roku wybitnej artystki, uznawanej za jedną z pionierek sztuki feministycznej i body artu, Natalii LL. Wystawa potrwa do 30 grudnia.

WIĘCEJ: mocak.pl



Azjatycki Festiwal Filmowy Pięć Smaków

Tegoroczna, szesnasta edycja Azjatyckiego Festiwalu Filmowego Pięć Smaków odbędzie się ponownie w formule hybrydowej: w warszawskich kinach w dniach 6–23 listopada oraz online od 16 listopada do 4 grudnia. W programie jak zawsze przegląd najciekawszych produkcji filmowych z Azji Wschodniej i Południowo-Wschodniej, w tym retrospektywa Edwarda Yanga, kino z Hongkongu oraz poprawiające nastrój filmy z Japonii.

WIĘCEJ: piecsmakow.pl

Kup książkę



[Kup książkę](#)



REMEDIUM

Połowa nierównej drogi

tekst i zdjęcie MATEUSZ MATUSZCZAK

Zastanawiacie się czasem, co się dzieje z zużytym sprzętem elektrycznym i elektronicznym?

Gdzie trafiają, gdy wyrzucimy je do kontenerów na elektrośmieci?

Obecnie niespełna 40 procent zebranych odpadów elektronicznych w Unii Europejskiej udaje się przekształcić w taki sposób, by nadawały się do ponownego użytku. To dwukrotnie mniej od celu wyznaczonego prawie dwie dekady temu przez Parlament Europejski na 2019 rok.

Elektroodpady mogą zawierać silnie toksyczne pierwiastki, takie jak kadm, rtęć czy ołów, dlatego ich przetwarzaniem zajmują się wyspecjalizowane zakłady, zatrudniające przeszkolonych pracowników. Część takich śmieci trafia jednak na czarny rynek. Niektórzy przedsiębiorcy, także firmy z Polski, pod pozorem pomocy krajom wykluczonym cyfrowo wysyłają kontenery odpadów elektrycznych między innymi do Ghany i Nigerii. Tam sprzedawane są handlarzom złomu na licytacjach. By odzyskać podstawowe materiały, jak miedź, śmieci przeważnie wypalane są w ogniskach lub rozbierane chałupniczymi metodami: młotkami, kamieniami, często gołymi rękami. Rodzi to zagrożenie dla środowiska (skażenie wody i gleby) oraz zdrowia pracowników wysypisk, często młodocianych. Odzyskane, a następnie przetworzone metale wracają z powrotem kontenerami na rynki pierwotne.

Dlatego przed oddaniem sprzętu do punktu zbiórki odpadów elektronicznych sprawdźmy, czy te odpady są przetwarzane w Polsce.

Zdjęcie wykonane w Ghanie, na największym na świecie wysypisku śmieci elektronicznych.

RAV·A
STORIES

Kup książkę

The background of the entire page is an abstract, textured image. It features a mix of deep teal, forest green, and lighter lime green hues. The texture is grainy and painterly, with some darker, almost black, areas in the lower right corner. There are some small, dark specks and faint, irregular lines scattered across the surface, giving it a sense of depth and movement.

PROZA

Mowa nasza szeleści

tekst JAKUB MAŁECKI

Pierwsze za próg piętrowego domu uniosły się palce, jeden z nich ozdobiony obrączką, dalej bransoletka z kolorowych rzemieni, kupiona cztery lata wcześniej na targu w Falenicy, potem przedramię, łokieć z blizną po szczęśliwym dzieciństwie. Cała reszta Igi Derkacz wyszła powoli na ścieżkę prowadzącą przez trawnik. Trzecia w nocy, zapach skoszonej trawy, dalekie szczekanie psa.

Czasami, po tylu godzinach spędzonych u znajomych lub w lokalu, odnosiła wrażenie, że świat na zewnątrz przez ten czas nie istniał i teraz, po otwarciu przez nią drzwi, naprędce się rekonstruuje, budynki wstają z ziemi, rozwija się asfalt, niebo z właściwie rozmieszczonymi chmurami, gwiazdami i księżycem wraca na swoje miejsce, latarnie przy ulicy włączają się w pośpiechu.

To było jedno z tych spotkań, które odsuwa się coraz dalej w przyszłość, opakowując wielokrotnie powtarzanym „Musimy się kiedyś...”, aż w końcu nie ma już wyjścia. Zaspana, najedzona, nietrzeźwa, przeżywała w taksówce ten wieczór jeszcze raz: przed wyjściem z domu Janek dwa razy się przebiegał, a ona przyglądała się temu z fotela, wertując nowe „Pismo” wyjęte tego ranka ze skrzynki, przekonana, że znowu nie zdoła przeczytać do końca żadnego artykułu przed premierą kolejnego numeru. Tyle rzeczy miała w życiu pozaczynanych, a nie kończyła prawie żadnej z nich i nie wiedziała, czy to z nią jest coś nie tak, czy może teraz wszyscy na potęgę tylko rozpoczynają.

Klaudia i Daniel mieszkali pod Warszawą w jednym z tych miejsc, które jeszcze kilka lat wcześniej otoczone były polami, zamienionymi teraz na rzędy cegieł i szkła. Iga знаła Daniela z czasu studiów, pamiętała krótko ostrzyżonego bruneta, który pojawiał się na tych samych imprezach co ona, zawsze jakby odrobinę zbyt dobrze ubrany i odrobinę za bardzo pod kontrolą. Prowadzili długie rozmowy na parapetach i przy kuchennych stołach pod koniec takich imprez, jedyni ocalali rozbitkowie pośród ledwie przytomnych znajomych. Pamiętała, że pochodzi ze wsi, ma dwie siostry, boi się dużych psów, lubi muzykę z lat 80. i masło orzechowe. Nigdy nie widziała go pijanego. Klaudii nie znała, słyszała, że jest w porządku, kupili jej wysokie drzewko awokado

w fantazyjnie kolorowej doniczce, a Danielowi – rum.

Przyjechali kilka minut za wcześnie i chodzili wokół osiedla szeregowców z jednakowymi trawnikami o powierzchni kilkudziesięciu metrów kwadratowych każdy. Otworzył im Daniel w szarych obcisłych spodniach i wpuszczonej w nie białej koszuli, z miną, jakby żałował, że nie ubrał się swobodniej. Usiedli we czworo przy dużym drewnianym stole, były oliwki, sery, wino, wiele pytań Daniela i starannie wystudiowany luz Klaudii. Bez skrępowania mówiła o kompleksie odstających uszu, którego nabawiła się w młodym wieku, i o terapii, na którą wróciła przed kilkoma miesiącami z powodu bezsenności.

Teraz, na Wiślostradzie, w taksówce pachnącej dawno zjedzonym posiłkiem, Iga podniosła głowę i chciała zapytać Janka, czy nie uważa, że w całym tym spotkaniu było coś innego niż zazwyczaj, niepokojącego, ale mogła się domyślić, co jej odpowie, coś w rodzaju, że nie, raczej nie, to tylko jej wyobraźnia, więc z powrotem oparła się o jego ramię.

Nie rozmawiali o wizycie przez kolejne dwa dni, on kończył właśnie pracę nad grą komputerową, którą pisał z trzema przyjaciółmi ze studiów, ona w niewielkim wynajmowanym biurze w centrum miasta przeskakiwała z konferencji na konferencję, wieczorami tak zmęczona, że zapomniała otworzyć trzymaną w dłoniach książkę.

Niecały miesiąc później spotkali się u nich. Chleb upieczony przez Igę, butelka primitivo, trzy butelki chianti i wołowina po burgundzku, na którą uparł się Janek i która wyszła jednak odrobinę za twarda. Około drugiej padła propozycja wspólnego obejrzenia nowego Almodóvara, Klaudia stwierdziła, że nie lubi oglądać filmów po alkoholu, bo nic w niej wtedy po nich nie zostaje, i nie pamiętali później, kto właściwie rzucił pomysł gry w „Pytanie lub wyzwanie” – wyjęli z drukarki kilka kartek i podarli je na kawałki, na których zapisywali polecenia i pytania, ukrywając ich treść przed pozostałymi, a potem wrzucili wszystko do dwóch pustych wazonów. Janek zamieszał.

Otworzyli kolejne wino, nikt już nie był głodny, z bezprzewodowego głośnika leciała płyta Bronco Orville’a Pecka, pierwsza losowała Iga. Zdecydowanym ruchem wybrała wazon z pytaniami, zamknęła oczy i wsunęła

dłoń do środka, a potem przez chwilę trzymała kartkę w palcach, nie otwierając jej, wreszcie przeczytała na głos.

– Powiedz zebranym o czymś, o czym nigdy nikomu nie mówiłeś.

Spojrzała na Janka, stwierdziła, że będą się śmiać. Poprawiła postrzępioną nogawkę dżinsów, jasne nitki odcinały się wyraźnie od opalonej skóry. Była boso, paznokcie stóp miała pomalowane na błydy pomarańcz. Na lewej pięcie miała znamie w kształcie przecinka.

– Dobra. Od pewnego czasu, nie wiem, chyba od dwóch lat, może nawet dłużej, no powiedzmy, że od trzech, mam powtarzający się sen. Jest tam morze, całe zamrożone i pokryte śniegiem, a na nim karczma, zbudowana jakimś cudem na lodzie, a wokół niej wozy, jest stajnia z końmi, a w tej karczmie, w środku, przy ogniu, rodzi się dziecko i wiem, że to dziewczynka. Głupie, wiem.

Losowali kolejne kartki, coraz częściej decydując się na wyzwania zamiast pytań, Janek włączył płytę Lery Lynn, znalazł jeszcze jedno wino, dołął wszystkim i usiadł. Przy czwartej rundzie Klaudia rozłożyła przed sobą kartkę i głośno wciągnęła powietrze.

– Nieee, nie, kto to pisał?

Zasłoniła sobie oczy, podniosła kartkę i powiedziała:

– Całuj w usta osobę po twojej lewej przez trzydzieści sekund.

Janek, siedzący po jej lewej stronie, uniósł brwi, ale nie ruszał się, wyglądał na opanowanego albo na kogoś, kto bardzo stara się tak wyglądać.

Klaudia podtykała kartkę pod nos swojemu mężowi, rozglądając się i powtarzając:

– To jest twoje pismo? Czyje to pismo?

Daniel zaprzeczał, pił wino dużymi łykami, zaśmiał się nerwowo i odparł, że wyzwanie to wyzwanie, taka gra.

Klaudia pochyliła się, poprawiła włosy, stłumiła śmiech i cofnęła głowę, a Janek przebiegał palcami po dywanie. Wreszcie się uspokoiła, powiedziała:

– No dobra...

I przysunęła się bliżej, opierając mu dłoń na kolanie.

KOŃCZYŁO SIĘ LATO. Janek i Iga pojechali do Włoch, gdzie przez większość czasu siedzieli na tarasie wynajętego domu, grali

w *Osadników z Catanu*, czytali książki i patrzyli na pola rozpostarte przed nimi jak na widokowce czy puzzlach. Kilka centymetrów pod horyzontem biegły tory kolejowe, pokazywali je sobie, kiedy przejeżdżał po nich mały, ledwie widoczny pociąg. Rozmawiali o wieczorze sprzed kilku tygodni, Iga pytała Janka, jak się właściwie czuł, czy było mu dobrze i czy to on wymyślił tamto wyzwanie.

Pokiwał głową i przeniósł wzrok z pół na nią.

– Jesteś zła?

Obracała w palcach szklankę z zimną wodą, która w międzyczasie przestała być zimna.

– Nie wiem.

Później całą czwórką stąpali wokół siebie z dużą ostrożnością: spotkania, wiadomości i jakaś niecierpliwość pod koniec każdego wspólnego wieczoru, aż w końcu, podczas spotkania u Klaudii i Daniela, kiedy wypili więcej niż zwykle, Iga wstała bez słowa, wzięła Daniela za rękę i poprowadziła go za sobą do sąsiedniego pokoju.

Janek patrzył za nimi. Dłoń jego żony na czarnej, eleganckiej klamce, szeroki rękaw jej bluzki poderwany ruchem powietrza, zamykające się drzwi. Odłożył szklankę. Cały pokój wypełniała Klaudia, gdzie by nie spojrział, tam ona, jej włosy spięte w kucyk, jej wargi pomalowane szminką w kolorze ust, przedramiona o jasnej skórze.

Podnieśli się równocześnie i stanęli na przeciw siebie, obok stołu pełnego kieliszków i talerzy. Na dekolcie miała kilka pieprzyków rozmieszczonych tak, że z niczym mu się nie kojarzyły. Jej skóra pachniała ciepło. Przesuwał palcem wzdłuż śladu po statniku, po miękkich, równych wgłębieniach biegnących w poprzek jej dwudziestodwuletniego ciała i starał się jak najwięcej z tego wszystkiego zapamiętać.

Za ścianą Iga zapytała Daniela, czy tak dobrze, a on tylko powtarzał jej imię, chciała mu powiedzieć, że zawsze jej się podobał, ale nie wiedziała, czy to nie będzie złamanie jakichś ustaleń, które wprawdzie nie zostały wypowiedziane na głos, ale jednak istniały, tylko ona o nich nie wiedziała. Poruszała się powoli i wydawało jej się, że on na pewno zwrócił uwagę na jej nie do końca płaski brzuch, kiedyś miała bardzo płaski, owszem, ale teraz już raczej nie, i czuła jego pot na

swojej skórze – może to był też jej pot – a kiedy odchylił głowę i zamknął oczy, zobaczyła, że pod nosem ma jasną bliznę, na którą wcześniej nie zwróciła uwagi.

—
NIE WIDZIELI SIĘ przez kilka tygodni, bezpośrednio po spotkaniu utworzyli grupę na Messengerze i wymienili kilkanaście wiadomości mających świadczyć o tym, że czują się swobodnie, że potrafią nawet żartować z tego, co się stało. Później spotykali się nie regularnie, czasem kilka razy w tygodniu, a potem przez pół roku wcale, i fragmenty tych spotkań poprzedzające rozejście się do osobnych pomieszczeń stawały się coraz krótsze, niekiedy nie było ich wcale.

Janek uciekał do tego myślami przy komputerze, z papierosem na balkonie, podczas samotnych spacerów, Iga chciała z kolei rozmawiać: czy ci było dobrze, co sobie myślała, jak ona robi to, a jak tamto. Wracając do codzienności, obserwowali się uważnie, żółnierze z dwóch przeciwnych obozów warownych, i jeśli tylko jedno zdradziło się z ochotą na spotkanie, drugie wyrażało zdziwienie.

Podczas jednego z wieczorów w podwarszawskim szeregowcu przy ulicy Wierzbowej, kiedy wszyscy znaleźli się już z powrotem w salonie, kiedy swobodni i prawdziwi rozmawiali, nie wciągając brzuchów, nie poprawiając włosów, Klaudia przyznała, że zaczęli widywać się również z innymi. W przedszkolu córki poznali innych rodziców, którzy podczas wspólnego spaceru powiedzieli wprost, co chcieliby z nimi robić, a jakiś czas później okazało się, że wśród par odprowadzających dzieci do „Puchatka” prawie połowa sypia – rzadziej lub częściej, w ramach jakiegoś układu albo bez układu – z innymi ludźmi.

– Mam wrażenie, że my wcześniej chodziliśmy ślepi – powiedziała Klaudia, nie patrząc na nikogo.

Po powrocie do domu Janek długo się nie odzywał, chodził od kuchni do okna w salonie, przestawiał krzesło, doniczkę ze skrzydłokwiatem, otwierał gazetę i patrzył

gdzieś ponad nią. Kiedy zapytała, o co chodzi, stwierdził, że o nic, a potem, że czuje się zdradzony, to wszystko.

– Zdradzony?

– Jakby nagle się okazało, że my jako my jesteśmy dla nich nieważni.

Iga rozczesywała włosy przed lustrem w łazience, widział ją zza uchylonych drzwi. Mówił, że to beznadziejne i że nie wie, może nie powinni się już z nimi widywać, jemu to się w ogóle przestało podobać.

– Po raz pierwszy pomyślałem dzisiaj, że oni są jacyś... wydrażeni.

Myślała nad jego słowami dłużej, niż się spodziewała, a potem podeszła do niego, chwyciła go za rękę i zażądała, żeby jej obiecał, że się nie zakocha.

—
TRZY LATA PÓŹNIEJ na ślub jej i Daniela Janek przyszedł po kilku dużych kieliszkach wina, ale przyszedł. Było duszno, zapowiadało się na deszcz, który jednak nie spadał. Klaudia również się pojawiła – w brązowym kombinezonie, szczupła i starsza, niż ją zapamiętał, skupiona. Czekał, aż na niego spojrzy, i wtedy kiwnął głową, a ona odpowiedziała w ten sam sposób i schowała się za grupką pachnących znajomych.

Nie rozmawiał z nią od czasu, kiedy tamtej soboty osiemnaście miesięcy wcześniej Iga powiedziała mu, że musi odejść, że się zakochała, że przeprasza, że on zawsze będzie dla niej jedną z najważniejszych, absolutnie najważniejszych... i nawet nie potrafiła dokończyć tego zdania. Tego samego wieczoru ślepy, łapiąc powietrze, zadzwonił do Klaudii i zapytał, czy wiedziała o tym, a potem oboje próbowali obwinąć się nawzajem za to, co usłyszeli, coraz głośniejsze, ostatecznie rozłączyła się w pół zdania i nie słyszał jej od tamtego czasu.

Podczas terapii próbował znaleźć odpowiedź na pytanie, co zrobił albo co zrobili z Igą źle, ale jeśli cokolwiek zrozumiał podczas tych spokojnych czterdziestopięciminutowych spotkań, to tylko tyle, że być może nic nie zrobili źle.

Później ćwiczył się w akceptowaniu pogłosek na ich temat, zdjęć widywanych w mediach społecznościowych, ich samych przy kasie biletowej w Kinotece i w końcu zaproszenia na ślub. Iga zadzwoniła i powiedziała, jak bardzo jej na tym zależy.

Stał więc teraz lekko pijany, z kieliszkiem szampana w dłoni, wśród około czterdziściorga najbliższych znajomych pary młodej, z Klaudią uciekającą mu z pola widzenia. Obiecał sobie, że choćby nie wiadomo co, nie zatańczy z Igą.

SKULONA W FOTELU, ukryta pod kocem, z kubkiem zielonej herbaty na stoliku obok, Iga oglądała zdjęcia z wesela. Na jednym z nich tańczyła z Jankiem: lewa ręka oparta na jego karku, ciało lekko odchylone w tył, on z rozwianymi połami marynarki, z otwartymi ustami. Musiał mówić coś do niej i próbowała teraz sobie przypomnieć, co to było.

Słyszała, jak jej mąż przygotowuje w kuchni kawę, i próbowała zrozumieć, jak to się stało, że spośród dwóch mężczyzn, o których w ostatnich latach myślała tak wiele, to właśnie on znajduje się tutaj, za ścianą, a ten drugi na zdjęciu.

Daniel był kierownikiem regionalnym w firmie konsultingowej, całkowicie różnił się pod tym względem od Janka, wiecznie zawieszono między pracą a niepracą, z życiem zawodowym rozsmarowanym chaotycznie po całej dobie i wszystkich dniach tygodnia. Daniel lubił rytuały, wieczorne spacerki, podlewanie kwiatów w określonym porządku i zapisywanie nazw obejrzanych filmów, lubił kawę. Miał osobną szafkę pełną chemeksów, kawiarek, aeropressów, filtrów i dripperów, zamawiał ziarną z różnych zakątków świata. Któregoś dnia wrócił do domu z przewodnikiem po kawiarniach w całej Polsce, który kupił w jednym ze swoich ulubionych lokali, i zaproponował, by zaliczyli wszystkie opisane w nim miejsca.

Zaczęli odwiedzać kolejne kawiarnie, najpierw w Warszawie, a potem w innych miastach, do których jeździli specjalnie w tym celu. Oznaczali miejsca, w których już byli, zapisując wrażenia. Z czasem na marginesach przewodnika zaczął powstawać rwany, nieregularnie aktualizowany pamiętnik – niekiedy któreś z nich po kryjomu

wpisywało tam jakiś komentarz, który druga osoba miała odkryć dopiero po czasie.

Mówił jej o kobietach, z którymi zdarzało mu się sypiać, nie było ich zresztą zbyt wiele. Ją prosił o to samo. Mieli zasadę pytania się nawzajem o zgodę i kiedy któreś z nich czuło się niekomfortowo, mogło powiedzieć „stop”. Iga nigdy nie skorzystała z tej możliwości, Daniel – raz.

Córkę jego i Klaudii wychowywali co dwa tygodnie, przez weekend. Weronika nie lubiła Igi, co wydawało się zrozumiałe, ale nie lubiła jej w bierny, obojętny sposób, jakby w wieku dziewięciu lat posiadała jakąś



tajemną wiedzę o świecie, pozwalającą jej nie zniżać się do czegoś takiego jak okazywanie niechęci. Czasami podczas wspólnych weekendów Iga marzyła, by dziewczynka na nią nawrzeszczała, i zastanawiała się, czy w zarządzaniu uczuciami wszystkie dzieci były teraz bardziej dorosłe niż dorośli, czy dotyczyło to tylko Weroniki.

Za każdym razem, kiedy Daniel odbierał ją od byłej żony albo do niej odwoził, wydawał się otepiały, gubił przedmioty, nie słuchał Igi, szybko chodził spać. W nocy słyszała, jak zgrzyta zębami, budziło ją to w ciemnościach. Pytała go, czym się tak denerwuje, a on omijał słowa wiszące między nimi, twierdził, że to brak jakiejś witaminy. Wspominał, jak w gospodarstwie jego rodziców świnie zgrzytały czasem zębami tak głośno, że było je słychać zza zamkniętych drzwi chlewu, i dawało się to leczyć za pomocą odrobiny węgla dodawanego do paszy – jakby ta historia miała cokolwiek wyjaśnić.

Iga wiedziała, że tęskni za Klaudią, ale nigdy go o to nie zapytała, bała się, że wszystko, w co pozwoliła sobie wierzyć, okaże się jej naiwną fantazją.

Zginął na drodze ekspresowej S7, gdy wracał z konsultacji z jednym z ważniejszych klientów: wypadł na pobocze i dachował, najprawdopodobniej zasnął za kierownicą, tak jej powiedziano.

DWA LATA PO JEGO ŚMIERCI zaczęła kontynuować zapiski w ich bordowym przewodniku, chodziła po kawiarniach i notowała, „dziś jest strasznie gorąco, zjadłam banoffee, pyszne, a kawy nie dopiłam”, wreszcie zabrakło jej miejsc, które mogłaby odwiedzić, więc jeździła do tych, które już знаła, w których byli razem.

Przewodnik popekał na grzbiecie, wypełnił się śladami po palcach i miękkł od narożników coraz dalej ku środkowi. Nie było już wolnych marginesów, na wszystkich znajdowały się jakieś słowa – albo te z ich wspólnej przeszłości, albo te bardziej chaotyczne, z teraźniejszości należącej tylko do niej.

Zaczęła doklejać do niego kartki, ogromne przestrzenie bez druku, które mogła wypełniać wszystkim, co przychodziło jej do głowy, bez planu i zastanowienia – głównie były to wspomnienia o Danielu, zabawne sytuacje, które przeżyli, wspominała tam też o przeczytanych książkach i obejrzanych filmach. Z czasem przerodziło się to w list do niego, zwierzała mu się z trudności w codziennym funkcjonowaniu, pisała, że tęskni albo że jest na niego zła za to, że nie zdrzemnął się wtedy w jakimś hotelu przy drodze.

Kilka lat później w jednej z kawiarni spotkała Weronikę – wysoką, piękną, z papierosem. Kiedy już się pożegnały, Iga żałowała, że w ogóle podeszła – lepiej wcale nie rozmawiać, niż rozmawiać w taki sposób, słowami bez wypełnienia. Gdy wracała tak sówką do pustego mieszkania, zorientowała się, że to zdarzenie nie uruchomiło w niej wspomnień o Danielu, nie przyniosło żalu, że wcale nie jest jej po tym smutno, czuła tylko, że zazdrości Weronice młodości.

Nadeszły lata bez treści. Firma funkcjonowała siłą rozpędu, wieczory i weekendy trwały coraz dłużej, a jednocześnie miesiące mijały jeden za drugim, niemal

niezauważone. Przeżyła daty ze wszystkich filmów *science fiction*, które oglądała w młodości. Przyszłość różniła się od tego, co Iga przez większość życia wyobrażała sobie na jej temat, ale uznała, że najwyraźniej tak to już bywa z przyszłością.

Janek zadzwonił do niej któregoś dnia po południu, była zima, jedna z ostatnich, słabych zim przed całkowitym załamaniem klimatu. Kilka lat wcześniej związał się z młodszą kobietą, miał z nią dwoje dzieci, mieszkał w Piasecznie, wyłysiał. Rozmawiali jak starzy znajomi, którzy się wstydzą, że nie rozmawiali tak długo. Zapytała, czy wie, co u Klaudii, odparł, że nie, tylko raz widział ją na targu śniadaniowym na Żoliborzu, ale bał się podejść. Zanim się rozłączył, powiedział Idze, że czasami za nią tęskni, ale tak zwyczajnie, że ma tego nie brać za bardzo do siebie.

Później były święta, spędzone w poje-dynkę, i sylwester, podczas którego upiła się sama w domu, śpiewając piosenki Maanamu i Breakoutu. Niedługo po swoich pięćdziesiątych urodzinach zaczęła widywać Daniela. Zawsze z daleka, kątem oka, na przykład wchodziła do mieszkania, a on siedział na drewnianym krzeselku na balkonie. Znikał, zanim zdążyła do niego dołączyć. Lubił przebywać w kuchni, kiedy jej tam nie było. Odwiedzał ją tylko w mieszkaniu, nigdy poza nim, dlatego coraz rzadziej gdzieś wychodziła, czekając na te krótkie momenty jego obecności. Przestała zapraszać do siebie kogokolwiek w obawie, że taka wizyta zaburzy kruchy porządek, który między nimi panował. Nie czuła zresztą potrzeby rozmawiania z innymi ludźmi, od pewnego czasu wydawało jej się, że nie mówią nic konkretnego, tylko szeleszczą ustami, jednakowo i bez celu.

Opowiadała mu o firmie, o przypadkowych spotkaniach z dawnymi znajomymi, o zmianach w wyglądzie miasta, o wystawie w Muzeum Narodowym i o problemach z ciśnieniem. Mówiła o snach. O karczmie na zamrzniętym Bałtyku, którą wciąż odwiedzała nocami.

– Nie miałam pojęcia, jak potoczy się moje życie, ale jednego byłam pewna, to znaczy, że będzie jednolite, konsekwentne, że będzie miało sens. Może czegoś nie wiem, nie rozumiem, no powiedz coś w końcu.

Wydawało jej się, że może chociaż sny nadadzą jej istnieniu znaczenie, że może okaże się, że to zamrożone morze, ta karczma na nim i rodząca się w środku dziewczynka będą coś mówić o niej, o jej życiu. Daniel uparcie milczał, kiedy go o to pytała.

Umówiła się z Jankiem na spacer, to ona zadzwoniła pod wpływem impulsu i trzech kieliszków likieru karmelowego. Chodząc po parku Skaryszewskim z dłońmi splecionymi za plecami – nie pamiętała, by wcześniej tak chodził – opowiadał jej o swojej żonie, o zespole Aspergera zdiagnozowanym kilka tygodni wcześniej u starszej z córek i o stworzonej przez siebie grze komputerowej, która ku jego zdumieniu zrobiła furorę na całym świecie, a jego uczyniła bogatym. Pochwalił się, że od dwóch lat i siedmiu miesięcy nie pali.

Kiedy odprowadzał ją do taksówki, wyznała mu, że nic już jej się nie chce, że może i mogłaby jeszcze z kimś być, przecież to możliwe, ale po prostu nie ma na nic siły.

O tym, że się rozwiódł, usłyszała kilka lat później od wspólnej znajomej. Widywali się regularnie, ale on nigdy nie zaprosił jej do siebie, ona jego też nie zaprosiła, spotykali się w parkach i kawiarniach, spacerowali po mieście, kilka razy poszli do kina na filmy, których sama nigdy by nie wybrała i na których bawiła się świetnie.

Daniel ukazywał jej się coraz rzadziej. Z początku nie zwróciła na to uwagi, a kiedy pewnego dnia podczas kąpieli spojrzała na taboret, na którym zwykł siadać, złapała się na tym, że nie widziała go już prawie od miesiąca. Próbowiła go przywołać, powtarzając jego imię, zwierając się pustej ścianie z czegoś intymnego albo drobniawo odtwarzając sytuacje, przy których pojawił się poprzednio, ale bez skutku. Zdarzało się, że dostrzegała jego kształt za stołem w kuchni, ale był kruchy i ulotny, nie utrzymywał się dłużej niż kilkanaście sekund.

W tym czasie złamała rękę, próbując przestawić biurko. Po raz pierwszy w życiu widziała tak jasno, jak bardzo jest ciałem i jak łatwo to ciało zepsuć. Głupie biurko, chwila nieuwagi. Od tamtej pory bardziej uważała na siebie, ale miała też poczucie, że utraciła coś, co sprawiało, że jej życie było bardziej życiem.

— TYLKO RAZ PRZESPAŁA SIĘ z Jankiem. Byli w kinie na jakimś nowoczesnym przeboju złożonym z piersi, żartów i efektów specjalnych, a potem pojechali do hotelu i uprawiali seks w milczeniu, pospiesznie, jakby chcieli już mieć to z głowy. Janek bez ubrania wyglądał na starszego niż w ubraniu, ale wiedziała, że w pewnym wieku dotyczy to większości mężczyzn. Gdzieś tam, pod tłuszczem i luźną skórą, rozpoznawała dawnego jego, i miała ochotę płakać. Zastanawiała się, czy on też, patrząc na nią nagą, doświadcza tego poczucia straty, ale w jego twarzy dostrzegała coś jeszcze innego – po tym, jak się ruszał i jak na nią patrzył, zrozumiała, że mimo upływu lat nadal jest na nią zły.

Kiedy siedzieli na łóżku, wpatrzeni w błyszczący czarny prostokąt wyłączonego ekranu, Janek zaczął mówić:

– Jakiś czas temu, nie pamiętam dokładnie kiedy, pojawiło się w internecie sporo memów dotyczących stanowiska w jednym z kanadyjskich zoo, chodziło konkretnie o podnoszenie pingwinów. Bo niedaleko zoo znajduje się lotnisko, a pingwiny bardzo lubią przyglądać się przelatującym nad nimi samolotom, zadzierają więc wysoko głowy, często się przy tym przewracając, natomiast ze względu na specyficzną budowę potem nie potrafią już wstać.

Iga nie wiedziała dlaczego, ale poczuła nagle jakiś ból w środku, chciała się rozpłakać i uściskać tego obwisłego, zmęczonego mężczyznę, który po seksie ni stąd, ni z owąd zaczął opowiadać jej coś takiego.

– I w tym zoo pracuje człowiek, którego jedynym obowiązkiem jest przez cały dzień podnosić te leżące pingwiny. A przecież świat, w którym jakiś człowiek wstaje rano, idzie do pracy i całymi dniami podnosi zakochane w samolotach pingwiny, nie może być taki do końca zły, nie uważasz?

— ZESTARZAŁA SIĘ NAGLE, z dnia na dzień, po prostu któregoś dnia obudziła się i była starszą panią. Pamiętała wszystko, każdy dzień, ale wydawało jej się, że takie sprawy jak starość jednak się spostrzega, a tu nie. Pewne rzeczy przestawały w niej działać. Oszukiwała się, że po tej wizycie u lekarza i po tym zabiegu wszystko wróci do normy, ale

normą byli przecież już ci lekarze, te zabiegi. W międzyczasie upłynęła dekada.

Dom opieki pomógł jej wybrać Janek. Sam prawie już nie chodził, żył z córką i zięciem w tym samym szeregowcu w Piaseczynie, który kupił z żoną, w jednym z pomieszczeń przerobionym na osobne mieszkanie. Zanim załatwiono wszystkie formalności i Iga wprowadziła się do ostatniego miejsca, w jakim miała mieszkać w życiu, dowiedziała się, właśnie od jego córki, że spadł ze schodów, prawdopodobnie miał zawał. Jedną z ostatnich rzeczy, jakie powiedział jej przez telefon, dotyczyła tamtego mężczyzny, o którym wiele lat wcześniej wspomniał w łóżku, w hotelu – mężczyzny podnoszącego pin-gwiny.

– Okazało się, że wspomniane zoo, widząc najwyraźniej, jaki się wokół tego zrobił szum w mediach, wydało oficjalną informację, że nie ma i nigdy nie było takiego stanowiska, że to wszystko nieprawda. Pingwiny nie przewracają się na widok samolotów, to wymysł internetu, jeden z wielu. Żyjemy w świecie zbudowanym z głupkowatych historii i obrazków, które na dodatek po czasie okazują się nieprawdziwe.

Na jego pogrzebie miała ochotę krzy-
czeć i przeklinać.

—
W TRAKCIE MĘCZĄCEGO wyjmowania z kartonów rzeczy spakowanych wcześniej w mieszkaniu wspólnie z jej młodą, siedemdziesięcioletnią sąsiadką wpadła w panikę, wezwała guzikiem chłopca z obsługi i pospieszała go, kiedy zanurzał ręce w jej szeleszczącej przeszłości:

– Ten bordowy, bordowy, niech pan szuka, musi tam być.

Ale bordowego przewodnika po kawiarniach nigdzie nie było, musiała go zostawić, a może zgubiła. Zmęczona poszukiwaniami poszła spać i następnego dnia pamiętała tylko, że czegoś szukała, ale nie wiedziała czego.

Daniel nie pojawiał się w domu opieki, wyobrażała sobie, że został w jej starym mieszkaniu, nie dość, że martwy, to teraz jeszcze osamotniony, i długo nie mogła dać sobie z tym rady. Spodziewała się, że w jej życiu nie będzie już nic, powtarzała sobie, że jest na to gotowa. Przestała jeść to, co należy,

i jadła to, na co miała ochotę. Lody. Czekoladę. Pierniczki. Na jej piętrze było kilka osób o sprawnie funkcjonujących umysłach, spotykała się z nimi wieczorami, częstowała likierem, puszczała na laptopie kontrowersyjne filmy albo erotykę. W pewnym momencie, jadąc elektrycznym wózkiem przez park za ośrodkiem, zorientowała się, że właściwie to wcale nie jest nieszczęśliwa.

Później był wylew i szybko po nim drugi. Słowa rozsypywały się przed nią i nie umiała złożyć ich w całość. Porozumiewała się uśmiechem, gestami, mrugnięciami, których się wstydziła. Czekala, aż to minie, i raz po raz nachodziła ją myśl, że przecież może nie minąć nigdy.

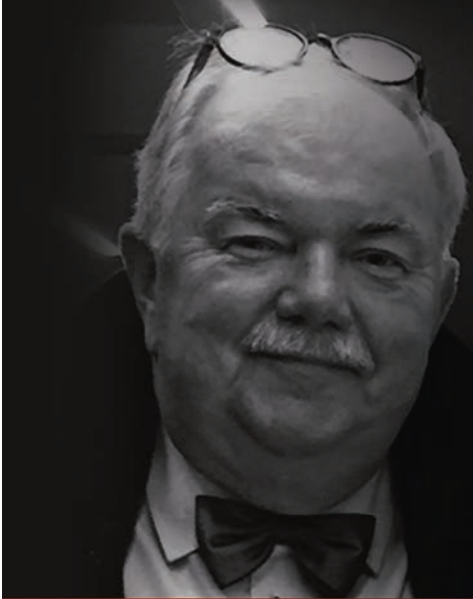
Czasami myślała o Klaudii, była ciekawa, czy jeszcze żyje, a jeśli tak, to czy żyje naprawdę, czy tylko tak jak ona, bez słów. Zdarzało się, że po przebudzeniu z drzemki nie wiedziała, czy jest sobą, czy nią. Potrzebowała coraz więcej czasu, żeby wyłonić się z mgły, która rozciągała się w jej głowie, zakrywając myśli i wspomnienia. Zdumiewające, że kiedyś wstawała z łóżka i wszystko funkcjonowało w niej bez zarzutu, nie trzeba było tego doglądać ani kontrolować.

Któregoś dnia ocknęła się z popołudniowej drzemki z przekonaniem, że to już teraz, że to już. Pielęgniarka zmieniała jej, co trzeba, i nasmarowała, co wymagało nasmarowania. Uśmiechnęła się do niej, wychodząc.

Iga czuła, że jej ciało nie zniesie więcej życia, oddechu. Za oknem niebo miało kolor oczu Janka. Pachniało odświeżaczem powietrza. Próbowwała przypomnieć sobie, co to za zapach, ale nic w jej głowie nie chciało już do siebie pasować. Przestraszyła się, chciała jeszcze zawołać, ale nie udało jej się, a może zrezygnowała. Czuła się oszukana. Przecież była Igą, siedziała ze znajomymi przy stole, piła wino, czuła się podekscytowana, lubiła czekoladę, układanie puzzli, zapach bzu, seks, seriale obyczajowe i chipsy, była zodiakalnym Wodnikiem, jedynaczką, właścicielką agencji reklamowej, żoną Janka, żoną Daniela, atrakcyjną kobietą, była sobą, a nie tym tutaj...

Dopiero kiedy zamknęła oczy, odczuła ulgę. Wszystko dobrze. Ostatnie, o czym pomyślała, to że być może wreszcie się dowie, co właściwie się wydarzyło w tamtej karczmie na zamrzniętym Bałtyku.

Wybierz swój ulubiony Podcast



Nagroda Publiczności

10 000 PLN



**PODCAST
ROKU**
Konkurs imienia redaktora
Janusza Majki

**Ogłoszenie wyników na
Gali Finałowej w Rzeszowie
20 listopada 2022 roku**

Kup książkę

Zapisy do 17 listopada na
www.podcastroku.pl/nagroda-publicznosci

Musiałem poczuć nasycenie

z WOJCIECHEM PLEWIŃSKIM

rozmawia MONIKA SZEWCZYK-WITTEK

O ŻYCIU Z FOTOGRAFIĄ i przez fotografię, pracy dla „Przekroju” i najlepszych polskich teatrów, o portretowaniu innych i samego siebie z Wojciechem Plewińskim rozmawia Monika Szewczyk-Wittek.

Od naszego pierwszego wywiadu minęło dziewięć lat. Wówczas powiedział pan, że jest bardzo zajęty. W trakcie naszej rozmowy mieliśmy okazję obejrzeć pana wystawę w Człym Barbarzyńcy w Krakowie. A już czekały kolejne propozycje zawodowe.

Nic się nie zmieniło. Chociaż na pewno mniej fotografuję niż wtedy, dużo czasu zajmuje mi praca we własnym archiwum, które digitalizuję i porządkuję. Nie mogę też już nosić wielkich toreb i ciężkiego sprzętu, więc zdjęcia robię głównie telefonem.

Wyobrażam sobie, że fotografie, które teraz powstają, to obrazy tworzone z czystej przyjemności obserwowania i zapisywania rzeczywistości.

Dla siebie robię głównie zdjęcia, które nazwałem „Z drogi”. Wyszukuję też takie fotografie w swoim archiwum. Okazuje się, że od zawsze robiłem fotograficzne notatki przez okno auta czy pociągu. Traktowałem to jako ćwiczenie, gdy obserwowałem nadchodzący krajobraz. Przewidywałem, na ile może być ciekawy za pół kilometra i czy będzie warto go uchwycić. I jeszcze zdążyć zrobić zdjęcie w ruchu. To mnie bawi. Dla mnie to zdjęcie coś znaczy, ale dla człowieka z zewnątrz może nie znaczyć nic.

WOJCIECH PLEWIŃSKI

(ur. 1928), fotograf, autor ponad pięciuset okładek tygodnika „Przekrój”. Jego zdjęcia prezentowane były na wystawach zbiorowych i indywidualnych, m.in. w Hongkongu, Holandii, Meksyku, Niemczech, Grecji, Francji, Wielkiej Brytanii. W 2011 roku Muzeum Narodowe w Krakowie przygotowało wystawę -retrospektywę 50 lat jego pracy twórczej. Fotografie Plewińskiego znajdują się w archiwach m.in. Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Łodzi i Muzeum Narodowego we Wrocławiu.

Co jeszcze pana bawi?

Robię też portrety i zdjęcia zauważone. Szukam różnych śmiesznych kadrów. Czasem udawało mi się uchwycić wiszące na sznurku ręczniki w różnych ciekawych barwach. Patrzyłem na nie w ruchu, na wietrze. Fotografuję również, na dłuższym czasie naświetlania, bawiące się dzieci. Wychodzą takie poruszone na zdjęciu. Wnuki mi do tego służą.

Czyli chęć fotografowania została?

Tak. Dostrzegam ją ciągle. Dla mnie fotografia to postrzeganie, wybór i decyzja. Czy na pewno robić, z jakiego miejsca i pod jakim kątem. Fotografia nie powinna być nudna ani dla fotografującego, ani dla oglądającego.

Ile trwa podejmowanie decyzji w pana przypadku?

Czasami kilka sekund, czasami trochę dłużej. To dla mnie atrakcyjna sytuacja, gdy mogę sobie postać i się czaić na to, co się zdarzy.

A na to trzeba mieć czas.

Codziennosc zniechęca do aktywności. Natomiast każdy wyjazd to okazja, żeby patrzeć bystrzej i oderwać się od tego, co nas na co dzień otacza.

To wszystko brzmi jak podążanie za praktyką fotografii Henriego Cartier-Bressona.

On był mi najbliższy. Jego metoda i moja metoda były podobne, czyli szukanie odpowiedniego miejsca, gdzie coś może się zdarzyć. Ulica, skrzyżowanie, schody, place, parki to miejsca, w których stawałem i decydowałem,

Kup książkę



Zofia i Krzysztof Komedowie, 1958